Nr. 8. 10. Marca 1872. **Tom V.**

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wiece.

Człowiek rozumny, pierwej nim coś zrobi, zawsze poradzi się innych. Dobry gospodarz poradzi się i żony swojej, i starszych swoich dzieci, bo zawsze rada nie zaszkodzi, a dwie głowy, to nie jedna.

Jeżeli trzeba, aby wieś cała albo gromada coś zrobiła dla siebie, to muszą naprzód zebrać się ludzie stateczni i naradzić się pomiędzy sobą, jak to byłoby lepiej i korzystniej zrobić. Takie zgromadzenie się ludu na naradę nazywa się po staropolsku wiecem.

Za bardzo dawnych czasów w Polsce wiece odbywały się często. Lud kmiecy, jeszcze wolny, lubił zgromadzać się i rozprawiać o wszystkich swoich sprawach. Były te wiece mniejsze i większe. Zbierali się kmiecie na naradę z jednej wsi albo z kilku wsi sąsiednich, albo nawet z całej okolicy. Czasami nawet i król przyjeżdżał na taki wiec.

Ale później ci, co z królem jeździli i wojowali, ludzie rycerscy, inaczej szlachta, sami zaczęli o wszystkiem radzić, a kmieciom powiedzieli: niech was głowa o nic nie boli, my

za siebie i za was radzić będziemy, a wy pilnujcie tylko, aby nam chleba nie brakło.

I kmiecie na własną biedę przystali na to. Schlachta, co uradziła, to uradziła tylko na własną korzyść i porobiła z kmieci chłopów dla siebie.

A kto temu winiem? — Jużci sami kmiecie. Bo gdyby byli mądrzy i powiedzieli szlachcie od samego początku: i my przecież mamy głowy, a w głowach rozum, dlaczegoż więc nie mamy radzić ze wszystkimi? — nie byliby dopuścili iż porobiono z nich chłopów.

Dzisiaj zmieniły się czasy: niewola nauczyła nas rozumu. Zrozumieliśmy, iż mocno trzeba trzymać się razem, aby obronić się od wrogów naszych i odebrać napowrót to, co nam zdradą i gwałtem wydarli.

Najlepiej zrozumieli to nasi bracia, co to Prusak zabrał ich pod siebie. Tam też największe niebezpieczeństwo grozi naszym braciom. Niemcy wydzierają im wiarę, język i ojcowiznę, starych ludzi puszczają z torbami po świecie, a dzieci przerabiają po swojemu, ażeby później wyśmiewały swoich ojców i swoje matki.

Kiedy posłowie nasi z zaboru pruskiego upominali się w przeszłym roku na sejmie niemieckim w Berlinie o krzywdy, jakie wyrządzają naszemu narodowi, wyśmiali ich Niemcy, a kanclerz pruski Bismark powiedział: „To wy szlachta tylko taka niespokojna, wy tylko krzyczycie, że wam nie dobrze, a chłopi milczą, toć znaczy, że im wszystko jedno, czy mają być przy polskim, czy też przy niemieckim języku. W tym roku Bismark to samo powtórzył, ale nie miał prawa już tak mówić: od przeszłego roku włościanie i mieszczanie zaczęli się głośno dopominać, ażeby Niemcy nie wydzierali im mowy, którą mają nie z łaski jakiegoś kanclerza lub króla, ale z woli najwyższej samego Boga.

Tegoroczne słowa Bismarka mocno zagniewały naród wielkopolski. I zaczął on zbierać się na wiece, i radzić, i dopominać się u króla o prawa swoje. Co tydzień w dwóch, w trzech miejscach odbywa się wiec. Aż miło czytać, jak naród się rozruszał. Nasi zaczęli nabierać otuchy, a Niemcom

co nas nie mieli za Boże stworzenie, łydki ze strachu drżeć poczęły.

Nie będę wam opowiadał o wszystkich wiecach, bo to dużoby bardzo czasu zajęło, ale opowiem wam tylko trochę o wiecu, jaki się odbył w Ostrzeszowie, małem miasteczku. Zwołał ten wiec piekarz z Ostrzeszowa, Urbański, na środę przed Wielkanocą, która przypadała 27. marca, na godzinę czwartą po południu. Trzebaż takiego nieszczęścia, że we środę śnieg zaczął padać i wiatr zimny począł ludziom dokuczać. Nie przeszkodziło to wszakże mieszczanom i gospodarzom wiejskim i w ogromnej liczbie zebrali się na wiec. Wszystkiemi drogami spieszył do miasteczka naród, jakby na odpust jaki. Szły gromady piesze, jechały wozy żniwne, pełne ludzi. Na wiecu nie było ani szlachty, ani księży, byli tylko sami mieszczanie i sami włościanie. Byli tu mieszczanie w rogatych czapkach z Ostrzeszowa, Mikstatu, Grabowa, Kobylej góry, byli wiarusy w chłopskich kamizelach z Olszyny, Bukownicy, Siedlikowa, Meszyn, Rojowa i innych wsi. Zebrali się wszyscy w piekarni Urbańskiego, ale w izbie zmieścić się nie mogli, więc wielu stało w sieniach, a wielu musiało pozostać na dworze.

Przemówił pierwszy piekarz Urbański, i zachęcał do porządku przy naradzaniu się. Później mówił Franciszek Degurski, przedstawiając, jaką to wielką krzywdę sprawia zaprowadzenie języka niemieckiego w szkołach. — „Dziecko nasze, mówił Degurski, idzie do szkoły, a tam Niemiec nauczyciel uczy go po niemiecku. Czyż dziecko takie może się czego nauczyć? Oczywista, że nie. Majętniejsi mogą za pieniądze trzymać nauczyciela w domu, a my ubodzy, niczego się nie nauczymy i nic też znaczyć w świecie nie będziemy, bo dziś tylko nauka popłaca. I takiego głupiego oszuka lada żyd, lada Niemiec. My nie chcemy być głupimi, niech o tem wie dobrze książę Bismark. Krzywdzi nas, kiedy powiada, iż to nas szlachta buntuje. Czyż my jesteśmy już tacy głupi, że nie zrozumiemy krzywdy własnej?! — Na to inni zakrzyknęli: Oj rozumiemy my dobrze! — A włościanin Adamski z Olszyny tak przemówił: „Kiedyśmy się dowiedzieli, o co tu chodzi,

toć też każdy podpisze podanie do rządu o zaprowadzenie polskiego języka, bo my wszyscy chcemy, by dzieci nasze po polsku się uczyły. Niech tam sobie każdy gada, jak mu się podoba, Niemiec po niemiecku, żyd po żydowsku, a my po polsku.“ Włościanin zaś Franc z Rojewa wniósł, aby napisać list do posłów naszych w Berlinie z podziękowaniem, iż dobrze i prawdę mówili, a Niemcom nie dawali się zastraszyć. I zaraz też napisali list do Bismarka, iż chcą, aby w szkołach po polsku uczono, — do posłów napisali, iż wszyscy im dziękują za dobre i odważne upominanie się o język polski, — i listy te wszyscy podpisali, bo wielkopolscy włościanie umieją wszyscy pisać.

Po skończonym wiecu jeden drugiego zaprosił na miodek, i długo jeszcze w miasteczku rozprawiali ludziska o tem, co każdego boli, powtarzając często: „kochajmy się i niedajmy się!“

Otóż i namby czas pójść za przykładem braci Wielkopolan. Nam wprawdzie wolno uczyć się w tym języku, jaki nam Bóg przeznaczył. Ale mamy mało szkół, nauczyciele nasi bez chleba, nie mamy za co kupić książek. I też po wsiach naszych lud ciemny: krzywdzi go każdy oszust, obałamuca go każdy szalbierz. I zawsze drzeć nas będą jak łyko, a oszukiwać jak baranów, dopóki nie nabierzemy rozumu Trzeba więc temu zaradzić. Teraz wszyscy u nas w całej Galicyi myślą o podniesieniu naszej ludowej oświaty i zbierają na ten cel pieniądze. Mieliżby tylko włościanie nie pomyśleć o własnym swoim pożytku?! Nie bracia, tak niepowinno być! Idźmy w ślad za naszymi braćmi Wielkopolanami i Szlązakami, zwołujmy wiece, radźmy, zbierajmy pieniądze, — a jeżeli każdy z nas da jednego tylko centa, to od pięciu milionów zbierzemy pięćdziesiąt tysięcy guldenów. Więc wezwawszy imienia Boskiego, zaczynajmy. *)

Wasz brat *Łotysz, Janko Płakań.*

---

*) W każdym powiecie, jak to już raz pisaliśmy, znajdują się ludzie, co mają prawo zbierać podobne składki, w kościołach będą puszki, do których pieniądze na ten cel wrzucać można. (P. r.)

ZBRODNIA I KARA.

(Zdarzenie prawdziwe.)

(ciąg dalszy)

Pamiętają dobrze ludzie wojnę z Prusakiem przed sześciu laty.

Okropna to była wojna i siła ludu naszego tam wyginęło, — bo Prusacy dobrze strzelać umieli i zawsze tak obsaczali Austryaków, że nie wiele ich cało ujść mogło.

Toż ciekawość była po naszych wioskach, kiedy powrócił do zagrody rodzinnej chłopak jaki i rozpowiadać zaczął o tej strasznej wojnie, co tyle dzieci polskich rodzicom wydarła.

Do wioski, gdzie mieszkali Worosze, z zimą po wojnie wróciło kilku zołnierzy Przodował im Jan Pawlik, chłopak dorodny i śmiały, a w rozpowiadaniu nikt mu nie dostał. Całą gromadę umiał zabawić, kiedy zaczął opisywać, co to on widział i jakie to on rzeczy wielkie robił.

Jan był synem ubogiego gospodarza i nie był jedynakiem. Miał starszego brata i siostry.

Ojciec wcześnie go odumarł, a Jan nie wiele dostał w spuściźnie.

Nie bał się jednak biedy, — bo był chłopakiem przemyślnym i odważnym.

— Po co ja mam tu siedzieć we wsi — mówił sobie Pawlik. — Tutaj niczego się nie dorobię. Ot, lepiej pójdę do miasta i przyuczę się się jakiego rzemiosła, i będę sobie panem, a nie sługą cudzym.

Jak powiedział, tak też zrobił. Miasto niedaleko — więc zaraz wybrał się w drogę. Przez znajomych dostał się do szewca, człowieka porządnego i pracowitego, Łatwy miał początek i wnet się nauczył, jakto szyć buty

Kilka lat minęło; w mieście nie źle mu się przez ten czas wiodło.

Ale wkrótce zmieniły się rzeczy. Jan dostał się w złe

towarzystwa hulaków i próżniaków, i jak to to mowią „z jakim się wdawał, takim się stawał.“

Zasmakowało mu życie próżniacze i zabawy nocne i zapomniał o pracy i pilności dawnej. Nauczył się grać w karty i w rozmaite inne gry, a że nie był głupim, więc i w grze wiodło mu się i nie jeden raz ograł dobrze tych, którzy go grać nauczyli.

— Nie lepiej to żyć sobie tak wesoło i łatwym sposobem zarabiać pieniądze, niż siedzieć tam za stołkiem i męczyć się szydłem i dratwą.

Tak rozumował Pawlik i brnął dalej w rozpuście i grzechu.

Gdy wojna wybuchła, Jan przystał do wojska. Bo i tu mu się podobało. Nie dbał o to, czy go tam kto pochwali albo zgani, byle mieć co zjeść i w co się przyodziać, a pohulać trochę, wtedy Jan był już szczęśliwym i nie pytał o nic więcej.

Nie bił się też tak jak inni.

— Głupibym był — rozumował Pawlik — pchać się naprzód, gdzie kule świszczą. Niech tam inni się biją. Ja wolę żyć i używać.

Toż nie dziw, że Pawlik cało wrócił z wojny.

Rozpowiadał dziwy całemi dniami, a ludzie go słuchali i kiwali głowami, kiedy się chwalił i pysznił.

W niedzielę zaszedł też czasem do karczmy i Michał z Kachną i przysłuchiwali się oboje temu, co wojak opowiadał.

Kachna szczególnie była ciekawą, bo Janek umiał ładnie gadać, a był jej krewnym dalekim i od dziecka znali się dobrze.

— Straszne to rzeczy działy się na tej wojnie — mówił Jan. — Raz napadli nas Prusacy w nocy, i jak zaczęli strzelać i rąbać szablami, to aż iskry leciały, a ludzie padali jak muchy. Byliby całą kompanię wymordowali, żebym się nie był zerwał i nuż na Prusaków. Kiedym ci machnął szablą kilka razy, to zaraz trzech Prusaków trupem koło mnie leży. I tak się przestraszyli, że dalej w nogi — a ja za nimi, i dalej rąbię i siekam.

Tak mówił Jan, a Kasia go podziwiała, że takie wielkie rzeczy dokazywał.

Pawlik także inaczej umiał się chwalić.

— Kompania nasza — mówił — stała kwaterą w górach na granicy. Ze wszystkich stron obsaczyli nas Prusacy. I ani rusz się wydobyć, ani chleba zkąd dostać. Przez całe cztery dni nic my nie jedli — aż człowiek osłabł z głodu i pragnienia. A tu Prusacy jeszcze wciąż nas niepokoją i spać nie dadzą, ani odpocząć. Było też tam biedy nie mało.

Tu Kasi aż łzy w oczach stawały, tak się litowała nad biednym Pawlikiem.

Janowi Kasia bardzo jakoś do serca przypadła, bo najwięcej się do niej przysiadał i dla niej zawsze najładniejsze miał historye do opowiadania. I nie dziw. Kasia była i ładna i bogata, a Jan chudzina i próżniak, patrzył tylko, gdzieby się pożywić łatwym sposobem.

Kasia znów miała dobre serce, i litowała się nad biednym krewniakiem. Często go zapraszała do siebie i uczęstowała go zawsze gościnnie.

Jan korzystał z tego i umiał Kasię tak zająć sobą, że poczciwa kobieta już zapominać zaczęła o mężu i dzieciach, a tylko zawsze i wszędzie była z Pawlikiem.

— Kasiu — żalił się Michał — coś ty za nadto przestajesz z Pawlikiem. To nicpoń i próżniak. On nie wart twojej litości. Zawróci ci głowę i zapomnisz o mężu i dzieciach.

— Nie gderałbyś mi nad uszami — odparła Kasia — już ja wiem co robię. Ty patrzaj swego, a do moich rzeczy nie wtykaj nosa.

Pierwszy to raz Katarzyna tak odpowiadała Michałowi na jego żale. Widać, że nie była ona już tą Kasią, co dawniej. Robak zepsucia wkradł się już do jej serca.

Michał zawsze spokojny, nie chciał swarzyć się z żoną i ustąpił. Biedny, nie przeczuwał nawet, jak wiele złego sobie i Kachnie wyrządził, pozwalając robić, co się jej spodoba.

Katarzyna odkąd się z mężem pognicwała, szła już z zawiązanemi oczyma ku przepaści.

Litość jej i przychylność dla Pawlika zamieniły się wkrótce w namiętną miłość. Nie umiała się oprzeć natarczywym prośbom i zaklęciom Jana i dała się uwieść jego słówkom pochlebnym.

Za złamaniem wiary małżeńskiej poszły inne zdrożności. Próżniactwo i hulatyka Jana znęciły i Katarzynę. Dzieci, zapomniane i zaniedbane, zostały na opiece Boskiej. O gospodarstwie ani myślała Kasia, a cały dzień siedziała w karczmie i marnotrawiła pieniądz i zdrowie, i imię nczciwej kobiety.

Widział to Michał i bolało go serce nad upadkiem kobiety, którą ciągle jeszcze kochał tak gorąco jak dawniej.

Biadał nad sobą i dziećmi, ale rady znaleść nie umiał. Bieda zaczęła doskwierać. Chleba już w domu nie było.

Wieczór był pogodny, a Michał siedział przed chatą i dumał jak przed kilku laty, kiedy to dopiero zaczynał żyć szczęściem i miłością.

Dumanie jego przerwał ochrypły głos kobiety, co się zbliżała ku domostwu.

— To ty Kasiu? — zagadnął Michał. — Cały dzień ani cię ujrzeć w domu. Zawsze hulasz i bawisz się, a o swoich ani pomyślisz.

— A cóż to?... znowu mię będziesz turbować zawołała Kasia. — Mało to ja się napracowała, żebym nie mogła pobawić się czasem.

— Alboż ja ci bronił kiedy bawić się Kasiuniu? Nie pamiętasz, jak my to dawniej żyli ze sobą? Cały dzień przy robocie, a wieczorem tyś tak ładnie czytała z tej książki, co ci ją dała nasza pani, albo jak przyszedł który sąsiad, toś rozpowiadała różne historye, a my przysłuchiwali się, i jakoś nam dobrze się działo. Było i wesoło i dostatnio w domu A teraz!....

— A teraz co? Pracuj kiedy chcesz, ja się będę bawiła. Czy to mało mamy, żebyśmy się biedy bali. Teraz to źle, ale będzie lepiej Tylko zapożycz się gdzie, bo mi dziś trzeba pieniędzy, albo nie, to zastawię co z domu. Ale za to jak jak wygramy na loteryi!....

— Na masz, babo! — zawołał Michał już rozgniewany. —

Ta loterya takie nie mało pieniędzy zabrała, a zniej co? Tylko zgryzota, jak nie wygrasz i zgorszenie dla drugich.

Michał chciał dalej mówić, chciał wszystkie swoje żale wypowiedzizć przed żoną, ale Kasi już nie było. Zabrała ostatnią chustkę z domu i pobiegła za Pawlikiem.

(Dokoń. nastąpi.)

Taras Szewczenko.

Na obrazku widzicie poetę ukraińskiego, Tarasa Szewczeńkę. Życie swoje opisuje on w części sam takiemi słowami:

„Jestem syn chłopa Grzegorza Szewczenki. Urodziłem się d. 25 lutego 1814 r. we wsi Kiryłówce Straciwszy w ośmiu leciech ojca i matkę, znalazłem się w szkole u diaka parafialnego, jako żak-popychadło. Pod koniec szkoły takiej, diaczek wyręczał się mną skoro wypadło czytać Psałterz po po duszach zmarłych, i raczył mi płacić za to dziesiąty grosz jako zachętę. Pomoc ta pozwalała srogiemu nauczycielowi mojemu oddawać się więcej niż kiedy ulubionej butelce tak, że wracając, zastawałem ich zawsze śmiertelnie pijanych. Diak mój obchodził się okrutnie nietylko ze mną, lecz i z innymi żakami, i wszyscyśmy go nienawidzili serdecznie Zastałem go raz pijanego bez czucia, i o ile wystarczyło mi sił dziecinnych, odemściłem mu za okrucieństwa doznane, i w nocy uciekłem do miasteczka Łysianki.

„W Łysiance wynalazłem nowego nauczyciela malarza dyakona. W przeciągu trzech dni najpotulniej dźwigałem pod górę wodę wiadrami z rzeki Tykicza i rozcierałem na blasze farbę miedzianą. Na czwarty dzień, uciekłem do wsi Tarasówki. Diak powiedział, że jestem do niczego, nawet do szewstwa i kołodziejstwa niezdolny.

„Pan mój, który w tym samym czasie odziedziczył majętność ojcowską, zapotrzebował roztropnego chłopaka, i ja włóczęga odziany zostałem w kurtkę i szarawary.

„Razu jednego, w czasie pobytu w Wilnie, d. 6 gru-

dnia 1829 r., państwo moi wyjechali na bal. Cały dom uspokoił się, zasnął. Rysowałem. Za to, rozkazano furmanowi Sidorce osmagać mię należycie.

„W 1832 r. skończyło mi się lat 18. oddali mię na cztéry lata do cechowego mistrza rozmaitych dzieł malowniczych niejakiego Szyrajewa w Petersburgu.

„W 1837 r. Soszenko zaprezentował mię sekretarzowi Akademii sztuk pięknych W. I. Hrehorowiczowi.

„Odtąd zacząłem odwiedzać Akademię."

Tak gnany losem z kąta w kąt, wśród biedy i nędzy, doszedł nareszcie Szewczenko do kresu swoich życzeń. Nie zapomniał jednak nigdy o swojem pochodzeniu, o swoich rodzicach, o nizkiej chatce ukraińskiej, i o braciach, a za braci uważał cały lud ukraiński i dla niego się też poświęcił. Pisał piosnki dla ludu, aby w nim wzbudzić uczucie godności, aby mu pokazać, jak niegodnie, jak srodze uciskają go Moskale. Ciągle upominał, iż nie potrzeba wierzyć Moskalom, bo to źli i przewrotni ludzie. Nie dziw, że rząd moskiewski srogim zapałał gniewem. Car moskiewski skazał na srogą karę do pułków orenburskich. Porwali go w sołdaty i uwieźli między rozbójników i zbrodniarzy, aby wraz z nimi pracował. Nie pozwolili mu ani pióra, ani ołówka mieć przy sobie. I za cóż to tak strasznie ukarali go Moskale? Oto najprzód za to, że ludowi ukraińskiemu wykazywał w pieśniach nadużycia i zbrodnie Moskali, a przedewszystkiem, że pisał taką mową, jaką lud na Ukrainie mówi. Moskale od dawna chcieli, aby nikt nawet nie wiedział, że Ukraińcy inaczej mówią, że są innym narodem od Moskali, że niesprawiedliwie przywłaszczyli sobie tak obszerny kraj. A przecież miliony ludu ukraińskiego mówią inną mową, nie rozumieją mowy moskiewskiej, jak i my jej nie rozumiemy, nie chcą się przyznawać, że są Moskalami, choć ich gwałtem carski rząd do tego przymusza. Ale to lud ciemny i nie wiele na niego zważali Moskale. Kiedy jednak Szewczenko począł pisać ukraińską mową, kiedy zaczął powiadać, że Ukrainiec a Moskal, to zupełnie co innego, kiedy pieśni jego po całej rozchodziły się Ukrainie, wtedy postanowili zemścić się nad biednym poetą, i oddali go między

zbrodniarzy. Ale pieśni jego już się rozeszły wszędzie i lud przyjął je z wielkim zapałem.

Szewczenko umarł w Petersburgu w roku 1860, a pochowano go około Kaniowa na Ukrainie.



Taras Szewczenko.

Z licznych jego piosnek i powieści przytaczamy tu jedną w skróceniu, z napisem:

Katarzyna.

Ej! kochajcie, czarnobrewki;
Ale nie Moskala:
Moskal tylko serca zrani,
Dusze porozżala.

Swem kochaniem, czy udaniem,
Pożartuje srogo,
Pójdzie w swoją Moskiewszczynę,
A ty giń, niebogo!

Nieby jeszcze, gdyby sama
Skamieniała głazem,
A to nieraz stara matka,
Musi ginąć razem.
Nieraz, nieraz, serce pęka,
Choć się pieśni nucą;
Ludzie serca nie spytają,
A kamieniem rzucą.
Więc kochajcie czarnobrewki,
Tylko nie Moskala:
Moskal tylko serce zrani,
Potem się przechwala.

Katarzyna ojca, matki,
Głosu nie rozumie,
A Moskala pokochała,
Tak jak serce umie;
Ot, bywało, matka woła:
„Córko! na wieczerzę!"
Ona syta ze swym lubym,
Ani sen ją bierze.
I ta miłość jawną była
W oczach całej wioski,
I poczęli już źli ludzie
Puszczać złe pogłoski.
A niech sobie źli tam ludzie,
Co ich wola plotą;
Ona kocha — serce pełne,
To i mniejsza o to!
Zabębnili, zatrąbili
W wojskowej komendzie;
Moskal poszedł w Turecczyznę
Cóż z dziewczyną będzie?

(Dok. nast.)

Gospodarstwo wiejskie.

Na Kwiecień. Drzewa owocowe szczepić, oczkować i kożuchować; stare z mchu gąsienic i wilków oczyszczać, podobnież wszelkie krzewy; młode, jeśli ciepło, puściło do gruntu przesadzać.

W ogrodach warzywnych grzędy, o ile można, przekopywać.

Cebulę siać i sadzić; zasianą deską przyklepać; a jeśli czas ciepły siać i sadzić wszystkie już rośliny warzywne i kwiatowe.

Gąsienice, pchły ziemne i szczypawki wszelkiemi sposobami tępić; podobnież mrówki, a zaś żeby na drzewa nie wchodziły, pieniek szmatką nasmarowaną dziegciem albo tranem obwinąć.

Kwiaty w doniczkach przez gęste sitko skrapiać i liście oczyszczać.

Wysadki w grunt sadzić i podlewać.

Zasiewy polne szybko już prowadzić; również sadzenie kartofli; wcześnie sadzone zawsze są najlepsze, i rzadko podlegają zarazie.

Konopie i trawę siać.

Grunt pod tatarkę uprawiać.

Łąki bezustannie nawodniać i zalewać.

Zagajniki wiechami zatknąć.

Z ogniem w lesie ostrożnie się obchodzić.

Gdzie są stawy, siać w nich mannę, bo ją ryby bardzo lubią.

Pszczoły już zaczynają pracować; starać się, aby w bliskości ulów była woda i rośliny kwitnące.

Rogacizna powoli przechodzi na zieloną paszę; zawsze jednak zadawać suchą paszę.

Konie i woły robocze dobrze paść.

Owce na pastwiska suche wypędzać.

Drób wszystek dobrze karmić paszą jemu najmilszą.

Chleb. Jeżeli się chleb nie udał przez jaką nieostrożność, można go przerobić na zupełnie dobry, piekąc go powtórnie następnym sposobem: obrzyna się skórka do koła, a miękisz kraje się na kawałki, nie tykając zakalca, potem na kilka godzin przed zakiszeniem zalewa się wodą tak ciepłą, jak do samego zakiszenia, a nakrywszy, zostawia się. Na zakiszenie zaś ciasta, do którego te kawałki przydać się mają, bierze się nieco mniej rozczyny i przed zakiszeniem kawałki te rozgniata się drobno. Skórka chleba, jeżeli nie chcemy jej przydać do czeladniego chleba, który od niej czarniejszym się robi, może się skarmić ptactwem, wprzód jednak trzeba ją odmoczyć. Chcąc użyć jej do chleba, jeżeli wieczorem mamy rozczynać, zaraz z rana namoczyć. Rozczyny od ciasta, które się nie udało, nie trzeba używać do następnego pieczywa, ale o świeżą się postarać.

Mleko. W obawie, aby mleko nie ścinało się w gotowaniu, trzeba je naprzód ubić dobrze, potem wsypać miałko tłuczonego cukru i gotować. Po ugotowaniu trzeba je znowu dobrze rozbić. Tym sposobem zatrzymuje dłużej słodycz i ścinać się nie będzie.

Masło. Chcąc długo utrzymać masło w dobroci, bierze się dwie części dobrej, kuchennej soli, jedną część cukru, jedną część saletry, mięszają się razem, i z tej mięszaniny

bierze się dwa łuty na każdy funt masła, ugniata się z niem mocno i zachowuje do użycia. Tak solone masło nabiera tłustej, szpikowatej własności i piękniejszego koloru, nigdy nie smakuje zbyt słono, ani się kruszy, a bardzo długo przechować się daje. Po trzech lub czterech dopiero tygodniach bierze się do użycia, a to, aby się sole dostatecznie rozpuściły i z masłem się zmięszały.

Chcąc masło zjełczałe naprawić, trzeba je rozpuścić nad wolnym żarem, i włożyć do niego skórkę chleba mocno uprażoną.

Sér. Żeby suchy sér dawał się łatwo krajać, trzeba sér świeży zwyczajnym sposobem zrobiony położyć na półce, i przykryć go płótnem gęstem, żeby powietrze do niego nie dochodziło, okien nie otwierać i izby nie opalać. Séry takie trzeba codzień przewracać na drugą stronę, aż pokryją się pleśnią i cuchnąć zaczną, co po dwóch albo trzech tygodniach nastąpi; wtenczas zdjąć płótno na tydzień lub dni dziesięć, by pleśń nieco zczerstwiała, i wymyć séry w serwatce tak gorącej, że w niej rękę zaledwie utrzymać można, odmieniając dwa lub trzy razy serwatkę gorącą, aż dopóki séry do czysta się nie wymyją. Poczem porozkładać séry na czystych półkach, wpuszczając już potrochę wolnego i świeżego powietrza, nie okrywać ich płótnem i koniecznie dwa razy dziennie przewracać. Gdy dobrze obeschną, chować je w życie suchem. Przed użyciem obmyć sér w dwóch albo trzech wodach gorących, i dać mu nieco obeschnąć.

Co się dzieje w świecie?

Dawno to już ponoś nie pisaliśmy wam, co tam w wielkim bożym świecie słychać: czy na coś lepszego się zanosi, czy też może nowe nieszczęścia nam grożą; czy żyją nasi przyjaciele; czy złość wrogów ustała.

Przyjaciele żyją co prawda, boć naszymi przyjaciółmi jedynie: Bóg i nasza głowa i ręce nasze. Pracujcie, uczcie i oświecajcie się, a będziecie ocaleni, powiada z dawien dawna pismo. Toć też w pracy, w oświacie, nauce, oszczędności i zgodzie nasze zbawienie. To są

nasi przyjaciele, nasi najlepsi doradzcy, a ci, jeźli sami nie chcemy, nie zginą i nie zwiodą nas nigdy.

Za to nieprzyjaciele, wrogowie nasi, wzmogli się i rozmnożyli:

Austryaccy Niemcy chcą nam odebrać miasto, co się nazywa Biała, a miasto to, jest na samej granicy Galicyi 8 mil od Krakowa. Odkąd świat światem, odkąd pisma podają i ludzie pamiętają, Biała należała do Polski i nikomu się nawet nie śniło, aby kiedykolwiek ktoś inny miał do niej prawo.

Naród nasz jednakowo od najdawniejszych czasów był miłołosierny, gościnny, pobożny. Kiedy w innych krajach inne ludy prześladowały, dręczyły, męczyły i wyganiały żydów, myśmy ich przyjęli, daliśmy im prawa ludzkie, pozwoliliśmy im gospodarować i zarabiać, jak się im podoba.

Tak samo z Niemcami. Gdzie jaki książę niemiecki obdzierał kupców, zabierał im towary, czatował na nich po drogach i rozbijał, tam krzyczeli Niemcy w niebogłosy, narzekali płakali, i uciekali z własnego kraju. I gdzież tu uciec, kiedy w dawnych czasach prawie wszyscy książęta i panowie niemieccy żyli z rabunku. Oto najlepiej, powiadali sobie, uciekać do Polski; tam naród pobożny, gościnny i uszczíwy, nie rabuje, nie kradnie, jak u nas książęta. I przychodzili tysiącami z rodziną liczną i pustemi kieszeniami. A Polacy przyjmowali ich po swojemu, gościnnie i serdecznie, i nadawali im rozmaite swobody i prawa, co się zwało wtenczas przywilejem. Osiadali tedy Niemcy i po wsiach, i po miastach, i dobrze im się działo. Takimi to przybyszami zaludniła się i Biała. I siedzieli tam Niemcy przez długie lata, i dobrze im się wiodło, i dorobili się majątku wielkiego, ale nie postało im w głowie, aby polski kraj oddawać pod cudze panowanie.

Dopiero po ostatniej wojnie po całym świecie Niemcy zadzierają nosy w górę. Owi przybysze do Biały podali prośbę do Wiednia aby ich przyłączono do niemieckich krajów; przewróciło się im tak dalece w głowie, że powiadają, iż im Polacy nie zechcą pozwolić mówić po niemiecku. Co za przewrotność i głupota! To też Polacy z miasta Biały i z okolicy podali do Wiednia zaprzeczenie, że to wszystko fałsz i kłamstwo, i spodziewać się należy, że w Wiedniu Niemcom owym należytą dadzą odprawę.

Owszem nie Białę do Niemców, ale Szlązk do Galicyi przyłączyć potrzeba, bo to kraj od tysiąca lat polski, i naród mówi po polsku i chce się w tej mowie uczyć i modlić i rozmawiać, choć go gwałtem zmuszają do niemieckiego

W Czechach nie było dawniej ani jednego Niemca. Cały naród w tym kraju był czeski i mówił czeską mową. Kiedy jednak Czesi przegrali bitwę pod Białą górą, naszło do Czech tyle Niem-

ców, że ich wszędzie było pełno, a najwięcej po miastach. Dużo Czechów bogatszych przeszło na Niemców, i zdawało się przez dwieście lat, że naród czeski zaginął. Ale w chłopskich chatach utrzymywała się i mowa i obyczaj czeski. Kiedy nastała swoboda, wyszło ze stanu chłopskiego wielu mądrych i uczonych ludzi, wielu rzemieślników i kupców, i znów naród czeski obudził się, jakby ze snu długiego, i pokazało się, że w tym kraju jeszcze o wiele więcej Czechów niż Niemców. I Czesi poczęli upominać się o swoje prawa, o mowę swoją i reprezentacyę sejmową. Możeby już było przyszło do zgody, gdyby znów nie wojna. Kiedy Prusacy pobili Francuzów, to zdało się Niemcom czeskim, że i oni także wielkimi są bohatyrami, i dalejże na Czechów. Tak to — kiedy konie kują, to żaba nogę nadstawia. Więc też teraz po całym kraju przemocą, pieniądzmi, i rozmaitemi sztuczkami zmuszają naród, aby do sejmu wybierano Niemców. Boć kiedy sejm wybierany w Czechach, myślą sobie Niemcy, będzie złożony z samych Niemców, toć najlepszy dowód, że to kraj czysto niemiecki.

Prusacy zabrali przy podziale Polski ogromny obszar kraju naszego i zaraz też poczęli gospodarować po swojemu. Wykupowali grunta i od panów i od chłopów; i puszczali ich na żebry, zabrali na skarb owe ogromne dobra, jakie dawniej do króla polskiego należały i wszędzie osadzali Niemców. Teraz po tej ostatniej wojnie, powiadają, że wszystką szlachtę, księży i chłopów trzeba wytępić, trzeba ich przerobić na Niemców. Sprowadzają więc nauczycieli niemieckich, nakazują po niemiecku gadać i po niemiecku wierzyć. Ale Pan Bóg mocniejszy jak Prusacy, i mowy naszej i wiary naszej z pewnością nam nie odbiorą, bo to mamy od Boga.

Moskale po prostu rabują i niszczą kraj cały, i gwałtem nawracają na syzmę pogańską. Boć to pogańska jest wiara, gdzie car Bogiem się mianuje.

Choćby jednak stokroć większą była złość ich, naród polski nie zginie, a jak niegdyś srogie prześladowanie rzymskich cesarzy nie wytępiło chrześcijaństwa, tak i ów srogi ucisk nie wytępi narodu polskiego, owszem przy pracy i nauce, naród polski żyć będzie i tryumfować kiedyś nad nieprzyjaciołmi.

Od redakcyi.

W Wielkiem Księstwie Poznańskiem i w Prusiech przyjmuje przedpłatę na „Dzwonek“ Księgarnia Franciszka Richtera w Poznaniu.

Przedpłata dla W. Księstwa Poznańskiego i Prus wynosi: rocznie 1 Talar 15 sr. gr, półrocznie 23 sr. gr., kwartalnie 13 srgr.

Redaktor i wydaw. odpow. **Kazimierz Okaz.** — Z drukarni Karola Budweisera